

IRENEUSZ JEZIORSKI

NA KRESY Z ŻYWIECCZYZNY

Pomysł tak zwanej pomocy humanitarnej i materialnej Polakom, zamieszkałym na Ukrainie, zwłaszcza we Lwowie i okolicach, zrodził się przed pięcioma laty. Inicjatorami przedsięwzięcia byli: młody ksiądz Dariusz Firszt – rodowity Żywieczak, z podlwowskiego miasteczka Żydaczów i nauczyciele ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Żywcu. Oni to pierwsi zorganizowali się wokół szukania sponsorów, zbierali potrzebne dary i książki. Potem dołączyli mieszkańcy z innych miejscowości na Żywiecczyźnie. Organizacja przedsięwzięcia padła na podatny grunt, stworzony przez przemiany ustrojowe. Wtedy to począł otwierać się przed nami kresowy „interior”.

Po raz pierwszy z ukraińskim miasteczkiem o intrygującej nazwie Żydaczów spotkałem się przy lekturze jednego z ważniejszych piewców (po Miłoszu, Konwickim i Vincenzie) dawnych polskich kresów wschodnich. Był nim Andrzej Kuśniewicz, którego typ wrażliwości i wyobraźni bardzo mi odpowiada. W jego galicyjsko-hasburskiej opowieści małe, kresowe, polsko-żydowskie miasteczka i wsie stają się ośrodkiem świata, „światem arkadyjskim”. Zawsze mnie przyciągała jakaś dziwna, magiczna siła, emanująca z dawnego polskiego Wschodu, wschodnich rubieży Małopolski. Gdy po raz pierwszy dowiedziałem się, że można dołączyć do wymienionej wyżej inicjatywy, nie wahałem się ani przez chwilę. To był pierwszy mój kontakt z Polską Kresową. Potem przyszły dalsze wyprawy – samotne lub z niewielką grupą przyjaciół.

Gdy przekraczałem cztery graniczne szlabany strefy polsko-ukraińskiej (jeden polski, trzy ukraińskie) horyzont wypełnił się nowo powstałymi osiedlami domów w kształcie sześcianów ze świeżej cegły. Liczne ceglane „osady” rodziły się w okresie przygranicznej prosperity ludności ukraińskiej. Wtedy to jeszcze mieszkańcy tych ziem mieli możliwość zarobkować w Polsce na budowach i placach targowych. Były to początki lat dziewięćdziesiątych. Potem wprowadzono wizy, a ich rezultat to setki

przemykających przed naszymi oczami niewykończonych „chałup”, strażących w wielu przygranicznych miejscach na trasie w kierunku Lwowa.

Po drodze do Żydaczowa mijamy skrzyżowania szerokich szos w szczerym polu. Przy nich to możemy zapełnić bak, nalewając paliwa z czegoś, co wygląda jak skrzynka transformatorowa. Z pełnym bakiem brniemy przez ukraińskie widoki. Co kilkanaście kilometrów zatrzymują nas mundurowi (drogowa milicja). Za każdym razem rozmowa jest taka sama: „...no, mandatu to my nie wystawimy, ale musisz pan ponieść karę! Parę zielonych i jesteście kwita”. Taka forma haraczu. Nie ma wyjścia, trzeba płacić, jeśli chce się jechać dalej. Z drugiej zaś strony trudno się dziwić, gdy dwieście do trzystu dolarów to niejednokrotnie roczna pensja takiego milicjanta. Zaczyna się Wschód i jakże nam to bliskie. No, może tylko nie tak odległe. Ważne, że niedaleko do Żydaczowa, Lwowa. A później – w stepy.

Janki przyjechali – mówią miejscowi Polacy o nas, o Polakach z Polski. Nie ma w tym żadnej złośliwości. Żydaczów, opiewany przez Kuśnierwicza, nie jest już jednak tym samym miejscem, co przed kilkudziesięciu laty. Jest dziś podupadłym i zapuszczonym miasteczkiem, leżącym nad rzeką Stryj. Z jednego brzegu rzeki na jej drugi brzeg przejść można przez długi most, przeskakując głębokie dziury. Łatwo w nie wpaść i znaleźć się w rzece... „która raz w tygodniu, w piątek wieczorny staje się świętą rzeką Ganges”.

Żydaczów, jedno z tych dawnych galicyjskich miasteczek kresowych, był miejscem o swoistym kolorycie orientalnym prawosławno-katolicko-ormiańsko-żydowskim. W tej wspólnotcie największe znaczenie miały jednak wartości indywidualne, ludzkie, a nie etniczne. Przeżył Żydaczów chwile traumatyczne w okresie niemieckiej i sowieckiej okupacji. Wtedy to znaczna część ludności polskiej została wywieziona do Kazachstanu, gdzie na gołym stepie mieli zacząć „nowe życie”. Wszystkich zaś Żydów współcześni tyrani, ci z drugiej strony, bestialsko mordowali w Bełzcu i innych miejscach zagłady. W Bełzcu ginie także wielu Polaków z całego okręgu lwowskiego, głównie za pomoc udzielaną Żydom.

Niemożność przeciwstawienia się tej demonicznej sile była powszechna w swojskiej chagallowo-singerowskiej atmosferze kulturowej mozaiki dawnych polskich miasteczek kresowych. Totalitarne prawo brzmiało: zabijaj i zapomnij. W Żydaczowie, jak w wielu miastach i miasteczkach ówczesnej doby, stało się ono prawem powszechnym. Ludzkie zaś prawo powiada: zachowaj wierną pamięć czasów, ludzi, krajobrazów i regionów. Z tą pamięcią jest jednak problem. Wiele lat sowieckiej indokrynacji i lęku skutecznie przyczyniło się do uczynienia z amnezji siły wyższej. Ten

czas pozostawił w spadku ludziom Żydaczowa, Lwowa i wielu innych miast i miasteczek zachodniej Ukrainy poczucie bezsilności.

Pomoc z Żywca to kropla w morzu potrzeb, ale ma ważny oddźwięk etyczny i kulturowy. W pewnym sensie jednoczy rodaków. Nawet dwa razy do roku dzieci z Żydaczowa i okolic mogą pobycć kilka tygodni w Żywcu (w szkole nr 2 przy ulicy Zielonej i u zaprzyjaźnionych rodzin żywieckich mają bazę), w Krakowie czy w Tatrach. Nasz ulubieniec, Krzysio, mówi, że jest im tutaj dobrze. Wymiana kulturowa, po dziesiątkach lat przymusowej izolacji, zaczyna przebiegać w sposób jak najbardziej naturalny. Ten ruch, który przebiega już dzisiaj w obie strony, dostarcza wartości integrujących społeczności lokalne Żywiecczyny z okręgiem lwowskim.

Na Ukrainie – jak nam mówiono – do dziś pamiętany jest wielki głód sprzed kilkudziesięciu lat i płytkie groby tych, którzy się buntowali czy inaczej myśleli. Przy całym nieszczęściu tej historii, przy całej „skromności życia”, spotyka nas często szczerą dobroć niektórych ludzi (jak u rodziny Posackich). Polska jawi się im jak nam nie tak dawno Niemcy czy Austria. To wszystko łączy jakiś marazm rodem z Mroźka: „...*a może by co zasiać? E tam!...*”

W drodze do Lwowa zatrzymujemy się na jakimś przydrożnym placu, przy którym jest też kiosk. Można w nim, za „parę groszy”, nabyć dziwnie wyglądającego, przypieczonego, zimnego kurczaka, czaj i wódkę. Podchodzimy do trzech pięknych koni, pasących się nieopodal na kępie dorodnej trawy. Podziwiamy te ukraińskie okazy. Leciwy staruszek, którego są one własnością, lub tylko się nimi opiekuje pyta skąd jesteśmy? – *Z Polski, z Żywca, trochę od Krakowa na południe* – odpowiada kolega. Panu Krońskiemu, bo tak się nazywa, oczy napęlniają się łzami. Stoimy we troje więcej niż zakłopotani.

Na Ukrainie grywna (waluta tutejsza) jest warta trochę więcej niż złotówka. Ceny towarów są podobne jak w Polsce. Połowę tańszy jest gaz, paliwo, jeszcze tańszy jest alkohol. Nawet gdy wzięliśmy pod uwagę tę różnicę, zastanawialiśmy się, jak moglibyśmy przeżyć miesiąc za dwieście złotych. Ta „jakość” życia spowodowana jest nie odzyskaniem niepodległości Ukrainy; jest skutkiem długiego panowania gospodarki sowieckiej. Apatia łączy się tutaj z problemem samoidentyfikacji. W dni świąteczne spora część mieszkańców bywa rano na mszach w kościele katolickim i grekokatolickim, a w godzinach popołudniowych w cerkwi prawosławnej.

Z Żydaczowa (po długich nocnych Polaków rozmowach przy „nalewce babuni”) udajemy się do Lwowa. O Lwowie można pisać w nieskończoność. Ważne jest jednak, że miasto to nabiera życia, choć w różnych

miejscach różnie z tym bywa. Lśnią kamienice, banki, nieliczne kawiarnie czy Uniwersytet. Lśnią w większości tylko elewacje. Jeśli wejść na podworce, zaplecza i klatki schodowe kamienic można zobaczyć, jak to jest w rzeczywistości. Niektóre kamienice, piękne w przeszłości (przy Rynku jest kilka wyjątkowych, podobnych w Krakowie się nie uświadczy), malowane są w jednej czwartej, lub tylko do połowy na jakieś jaskrawe kolory). Atmosferę Lwowa trzeba jednak chłonać, trudno jest o tym pisać.

Spotykamy licznych Polaków-Lwowiaków. Starsza kobieta o szlacheckich rysach twarzy, prawie niewidoma, nie może trafić do mieszkania, mieszczącego się w jednej z przyrynkowych kamienic. Wspomina coś mimochodem o tym, że kiedyś miała duży dworek, że wszystkich z rodziny wywieziono daleko na wschód. Niski, brodaty człeczek, dawny żołnierz AK, prosi o wsparcie. Jest też pani Pawłowska, przewodniczka lwowska, opowiadająca o mieście i sławnych Polakach pochowanych na cmentarzu Łyczakowskim tak, że nawet tych, którzy udają twardzieli ściśnie coś w dołku i poczują ciarki na plecach.

Teraz przez Buczacz do najdalej wysuniętego przyczółka dawnej Rzeczypospolitej, owianego legendą na kartach „Trylogii” Sienkiewicza Kamieńca Podolskiego. Stare miasto wraz z twierdzą oddziałuje niesamowicie. Wydaje się, że dalej na wschód nie ma już nic (to jak widok z chińskiego muru). Całą tę enklawę otacza urwisty, trzydziestopięciometrowy skalisty jar, drążony przez rzekę Smotrycz. Przez most docieramy na puste rynki, place niczym z obrazów malarza surrealisty de Chirico. Przed oczyma niezwykle krajobrazy.

Historia Krzemieńca jest barwna, co widać choćby po tak zwanej kulturze materialnej. Przed najdalej na wschód Europy wysuniętą katedrą łacińską stoi muzułmański minaret (wieża przy meczecie, z której muezzin pięć razy w ciągu dnia wzywał tu wiernych na modlitwę), ruiny klasztoru franciszkanów sąsiadują z ormiańskimi domami handlowymi i ormiańską dzwonnica kościoła św. Marka, który został barbarzyńsko zniszczony przez chłopaków od Stalina, jest też kościół dominikanów i ruiny synagogi. Zachowało się także wiele świeckich budowli (m.in. polski ratusz). Dawniej było w mieście dziewięć kościołów obrządku łacińskiego i cztery ormiańskiego, aż jedenaście cerkwi i bodaj dwie synagogi lub domy modlitwy. Utrata Kamieńca Podolskiego na rzecz sułtana Mahometa IV nastąpiła w 1672 i odbiła się szerokim echem w całej niemal Europie. Wzbudziła powszechny niepokój zagrożonego ekspansją turecką chrześcijańskiego świata. Tu właśnie wysadził zgromadzone wcześniej zapasy amunicji major Heiking (Ketling), co stało się kanwą dla literackiej opowieści Sienkiewicza. Kamieniec odzyskano trzydzieści lat później. Końcem jego

zaś był drugi rozbiór Polski. Przez okres zaborów gród kamieniecki stopniowo podupadał. Później zaś bolszewicy skutecznie pomagają w degradacji tego miejsca, wprowadzając już w latach dwudziestych sowiecki „model dominacji”. Historia Kamieńca zaczęła topnieć.

Na dziedzińcu grodu raczy nas swymi „wdziękami” pomnik całego pokrytego złotą farbą żołnierza radzieckiego – istny koszmar. Nieopodal celuje w nas lufa działa z okresu II wojny. Dość pokrętna to symbolika. Takie to sowieci pozostawili po sobie pamiątki. Wszystko to jak z jakiegoś absurdałnego snu.

Owiana legendą twierdza jednak stoi i sama jest jednym z najważniejszych pomników historii na dawnych kresach Rzeczypospolitej. O nią to rozbijały się ataki tatarskie i wołoskie, zatrzymywała oddziały kozackie, a nawet potężne zastępy żołnierzy sułtanów tureckich. Ona to chroniła przez wieki wielokulturowe miasto, a może i całą Europę.

Opuszczając to senne dziś miejsce widzimy z okna samochodu pomnik traktora na wysokim postumencie, przy koszmarnym „nowohucskim” osiedlu mieszkaniowym, okalającym stary Kamieniec. Jeszcze jeden miły sowiecki gest. Napelnieni „metafizycznymi” krajobrazami wracamy do Żydaczowa. Po kolejnej nieprzespanej nocy opuszczamy serdecznych gospodarzy i przez Drohobycz, miasto Brunona Schulza, brniemy ku granicy. Stamtąd już do Krakowa i Żywca.

Podróże na dawne polskie Kresy oczyszczają. Bycie tam pośród historycznie oswojonych krajobrazów i tradycji daje poczucie ładu i harmonii (realizuje się marzenie człowieka poza ciężarami cywilizacji). Daje wytchnienie od masowej taniej rozrywki telewizyjnej, która zaczyna przybierać formy kultu religijnego. Wszakże ludzka wspólnota jest tak samo krucha i tymczasowa, jak ludzkie ciało. Trzeba ją zawsze mądrze chronić i ocalać, nie tylko w pamięci. Kontakt Żywczaków z Polską Kresową daje temu namacalny dowód...